

DWA TY GODNİK

NIEOBŁĘKTYWNY



5.04.2023



WYWIAD Z PROFESOREM SZCZENIOWSKIM

Kolejnym gościem naszej serii wywiadów z nauczycielami jest Pan Profesor Ignacy Szczeniowski, nauczyciel filozofii i etyki w naszej szkole. Dziękujemy bardzo serdecznie za przyjęcie zaproszenia!

Dzień dobry, bardzo mi miło, że tutaj jestem.

Przez długi czas uczniowie domagali się wywiadu z Panem w gazetce szkolnej, w końcu się udało... Jak się Pan z tym czuje? Czy słyszał Pan już od któregoś z uczniów, że bardzo by chciał przeczytać wywiad z Panem?

Ojeeej, słyszałem. Ja się w ogóle czuję onieśmielony tym wszystkim. Widziałem parę podestanych przypadkowo obrazków z „wiecznym drugim miejscem”, ale bardzo mi miło, że publiczność się domagała i zaraz się okaże, czy sprostam zadaniu.

Jak doszło do tego, że zdecydował się Pan na uczenie filozofii?

To jest bardzo specyficzna historia, bo tak się po prostu losy potoczyły. Pracowałem bardzo długo w turystyce, jakieś sześć-siedem lat, właściwie od waszego wieku jeżdżąc na wycieczki. Jeździłem z wycieczkami szkolnymi i tzw. „incentive’ami” na różne konferencje, głównie z firmami farmaceutycznymi, a jednocześnie się rozwijałem naukowo, studiowałem. Wybrałem się na filozofię, choć to był mój drugi typ. Zawsze chciałem się dostać na kulturoznawstwo, natomiast początkowo się nie dostałem i trafiłem na filozofię na UKSW, a potem na podstawie dyplomu magisterskiego z UKSW poszedłem właśnie na kulturoznawstwo. Bardziej kręciła mnie antropologia kulturowa, w pewnym momencie zaangażowałem się mocniej w uczelnię i zrezygnowałem ze zleceń turystycznych, pracowałem tam trochę przy okazji robienia doktoratu, angażowałem się w konferencje, publikacje, pracę akademicką i jednocześnie wpadł dosłownie etat dwóch albo trzech godzin na zastępstwo w nauczaniu etyki. I szkoła wciąga... Te pierwsze dwie-trzy godzinki były w Liceum im. Narcyzy Żmichowskiej, a potem już moja społeczna szkoła na Ursynowie i Władek.

Jaki jest Pana ulubiony koncept etyczny?

Myślę, że jest to niezwykle trudne pytanie dla mnie, jeśli chodzi o kwestie filozofii poświęconej moralności. Jeżeli miałbym podać jakąś maksymę, to mi jest bliski całkiem epikureizm z tą zasadą, żeby samemu żyć dobrze i dać żyć innym. Taki rodzaj liberalnego czy też otwartego podejścia do innych i do spokoju, cieszenia się tym co jest. Lubię się śmiać, lubię się bawić, to z takich stricte etycznych rzeczy, natomiast jeśli chodzi o nurt etyczny, to najbliższa mi jest etyka cnót, czyli nurt zapoczątkowany około 2400 lat temu, który mówi o tym, żeby się uczyć w byciu dobrymi ludźmi. Natomiast nie ukrywam, że jestem trochę zaskoczony tym pytaniem, bo tego materiału etycznego jest bardzo, bardzo dużo.

Czy uważa Pan, że udzielanie wywiadu gazetce jest etyczne?

No tak, tradycyjnie zawsze poprawiam: moralne, a nie etyczne... Zastanawiam się pod jakim kątem jest to pytanie, zależy też do jakiej gazety. Tutaj chyba nie mam z tym problemu w kontekście waszego pisma, pytanie jest też jakiego wywiadu, bo na wielu poziomach można to analizować. Wydaje mi się, że niemoralnym byłoby udzielanie wywiadu w celach propagandowych, do jakiejś ostrej gazetki propagandowej, na przykład w kraju, w którym panuje system autorytarny i wiadomo, że te słowa, które się w gazecie znajdują, będą służyły przykładowo do krzywdzenia ludzi. Ewentualnie takie mam poczucie, że zawsze jest ryzyko, że ten wywiad może być troszeczkę zmanipulowany, akurat nie w tym przypadku (śmiech), więc w takim kontekście na pytanie czy udzielanie wywiadu jest moralne, mogę odpowiedzieć, że wydaje mi się, że co do zasady tak, wyłączając tych kilka aspektów.

Zwykle uczniów interesują kwestie związane z nauczaniem we Władku. Czy ma Pan jakąś szczególną historię, wydarzenie, które może Pan wyróżnić?

To, co jest dla mnie osobiście najbardziej satysfakcjonujące, to momenty, kiedy uczniowie zostają po lekcji i o coś dopytują. Natomiast jeśli chodzi o historię, to praca nauczyciela ma wiele ciekawych kulis, my też sobie żartujemy czasem z siebie nawzajem, czasem z uczniów i wydaje mi się, że jest wiele rzeczy, które są zabawne. Nie przytoczę konkretnie, ale działo się trochę takich na przykład na próbach do Kawiarenki, gdzie poświęciliśmy swój prywatny czas na próby i tam naprawdę, naprawdę bywa bardzo zabawnie. Czasem się zdarza, że ktoś z nas improwizuje w trakcie prób i rzuca zupełnie inne teksty aktorom. Czyli wkręcanie innych aktorów, nie będę tutaj podawał konkretnego przykładu, to jest coś, co jest sympatyczne, staramy się tego nie robić na scenie, ale czasami, żeby rozluźnić sytuację rzucamy komuś taki nietypowy tekst.

Pojawiło się wśród uczniów sporo pytań o lekcje etyki i jedno z nich to: skąd się biorą różne koncepty lekcji i to, że Pan tak dobrze te lekcje organizuje?

Dziękuję za to pytanie, bo sam mam wrażenie, że za rzadko się nad tym zastanawiam. Etyka to zajęcia nieobowiązkowe, więc każdy, kto chce może w nich uczestniczyć, ale nie musi, przez co ja traktuję te zajęcia bardziej jak swojego rodzaju warsztaty. Staram się poruszać jeden kluczowy problem i ten kluczowy problem wydaje mi się, że ma takie trzy źródła. Po pierwsze, jest jakiś rodzaj słynnej podstawy programowej i podstawowych treści, które trzeba wyrazić. Często robię to przy okazji wstępów do etyki, jakieś nurty etyczne, jakaś charakterystyka podmiotu moralnego. To jest z książki, pierwsze źródło. Drugie źródło to są moje pomysły z obserwacji rzeczywistości. Ja jednak korzystam z mediów społecznościowych, korzystam z szeroko rozumianej sfery internetowej i docierają do mnie informacje, które oczywiście staram się sprawdzać, ze świata kultury, staram się też dzięki swojemu kulturoznawczemu przygotowaniu przeanalizować i je podrzucać. Pomysłem na to była na przykład dyskusja na etyce na temat feminizmu, zarówno od strony historycznej, jak i współczesnej. Równoległe druga dyskusja na temat red pillu czy manosfery, gdzie wciąż ta dyskusja w Internecie się toczy. Trzecim źródłem są sami uczniowie. To jest dla mnie najtrudniejsze źródło, to znaczy na etyce jest tak, że po prostu, jeżeli uczeń przyjdzie ze swoją propozycją jakiegoś tematu i albo sam opowie, albo poprosi żebym to ja poprowadził lekcję, to ja to chętnie przyjmuję, ale ważne, żeby był tam jakiś problem moralny w środku.

Jakie najczęściej błędy w rozumowaniu popełniają uczniowie?

Wydaje mi się, że podobne jak my wszyscy w przestrzeni publicznej, zwłaszcza, że inspirujemy się na przykład sferą medialną i politykami. Sądzę więc, że na pewno jest to kwestia błędu, który nazywamy „tu quoque”, czyli wydaje mi się, że uczniowie jak zauważają, że jest argument wobec nich albo jakiś zarzut, to często, jeśli ten zarzut jest nieswoisty, czyli tyczy się kogoś innego, to uważają, że oni sami siebie muszą z tego tłumaczyć. To jest odbicie zarzutu, że ktoś robi tak samo. Nie dostrzegamy ekskluzywności tego. To jest baaaardzo, bardzo popularny błąd, że widzimy podobne sytuacje, zdarzenia czy zachowania u innych i wydaje nam się, że z racji tego, że rzeczywistość jest taka albo że jak ktoś tak postępuje, to my jesteśmy usprawiedliwieni. To wydaje mi się najpopularniejszym błędem, który się zdarza, typowy przykład, ale to właśnie w młodszych klasach, nie w liceum, bo uczę też w podstawówce, to jest powiedzenie „Jasiu nie gadaj”, na co Jaś zwraca się w stronę innej osoby i mówi: „Ale Piotrek też gada”.



Ostatnie lata przyniosły nam kilka... interesujących dzieł otwierających PMT. Zeszłoroczny „Bond” napawał jednak optymizmem i wskazywał, że można spodziewać się znaczącego wzrostu jakości produkcji Koła Filmowego. Niestety jednak tak jak w pierwszym ujęciu „Igor, gdzie jesteś?”, samochody w alei „Solidarności” z jakiegoś powodu jadą tyłem, tak poziom filmu na PMT, względem zeszłorocznego, zdaje się cofać wraz z nimi.

Postaram się jednak zacząć od czegoś pozytywnego. Mimo że ma ona mocniejsze i słabsze punkty, na pewno do plusów w tym filmie zalicza się obsada, w której warto wyróżnić rolę Daniela granego przez Jakuba Sońtę (2B). Kuba zaprezentował nam się jako aktor filmowy po raz pierwszy i mam nadzieję, że nie ostatni, gdyż jego talent do gry głosem jest niekwestionowany i liczę, że będzie miał jeszcze kiedyś szansę go zaprezentować. Również na plus zaliczam występ Stanisława Szumańskiego (3B) i Miłosza Olczaka (2D), którzy swoje zdolności aktorskie niejednokrotnie prezentowali już na deskach auli w ramach władkowego Koła Teatralnego. Nieco gorzej zaprezentowali się Antoni Jesień (3C), który zdaje się przez cały czas komunikować „nie chcę tutaj być” i Nina Małek (1B), której postać często wypada bardzo niezręcznie, a także Igor Jobski (3A), u którego niestety widać, że aktorstwo nie jest mocną stroną. Nieźle zagrała Monika Wróbel (3E), jednak jej umiejętności tracą na odczuwalności, przez fakt, że postać przez nią graną, jak na główną protagonistkę, bardzo ciężko jest polubić. Marta jest nieustannie znudzona, poirytowana i zawsze pierwsza do przyczepienia się czy skomentowania czegoś/kogoś lekceważąco, tworząc obraz osoby atencyjnej i wywyższającej się nad innymi (wisienkę na torcie stanowią łamanie czwartej ściany, do których jeszcze wrócę). Będąc przy aktorach, warto wspomnieć o gościnnych występach pana wicedyrektora Mariusza Włodarczyka, pani dyrektor Małgorzaty Dąbrowskiej i pana profesora Huberta Bednarskiego, gdyż na wstawki z ich udziałem szczególnie entuzjastycznie zareagowała publiczność w trakcie premiery.

Następnym punktem, nad którym chciałbym się skupić, jest scenariusz. Sama historia, jak na produkcję na PMT, jest całkiem niezła – wyraźnie prowadzi do konkretnego punktu kulminacyjnego, po którym występuje rozładowanie akcji. Ponadto bezpośrednio odnosi się do szkoły i samorządu. Niestety, pomimo względnie ciekawej i przyjemnej historii, same kwestie często w praktyce brzmią bardzo nienaturalnie. Film zawiera dużą ilość gagów i żartów, jednak te często sprawiają wrażenie wymuszonych i zamiast parsknąć śmiechem wywołują skręt zażenowania. Scenariusz posiada pewien potencjał, niestety jednak realizacja blokuje możliwość wykorzystania go.

I w ten sposób płynnie przechodzimy, do największego minusa „Igora” – realizacja. Chciałbym rozbić ją na trzy podpunkty – konwencja, kompozycja i konstrukcja. W przypadku tej pierwszej ciężko jest określić, jaka ona była, gdyż film zdaje się zlepkiem co najmniej kilku. Raz stara się uderzać w tony bardzo prostej komedii sytuacyjnej, aby następnie zamienić się w poważny kryminał, przechodzić w akcyjniaka i wracać do slapsticku, a w międzyczasie wyjątkowo brutalnie, niespodziewanie i niepotrzebnie łamać czwartą ścianę przez zwroty do kamery (dlaczego?). Nie zrozumcie mnie źle – mieszanie konwencji to całkiem naturalne zjawisko w kinie, jednak zawsze na pierwsze miejsce wysuwa się jedna, konkretna. Tutaj bardzo trudno wskazać nawet gatunek tego dzieła.

Kolejnym aspektem, nad którym szczególnie ubolewam, jest kompozycja w tym obrazie, a raczej jej... brak. Ja naprawdę rozumiem, że to jest film na PMT i nie oczekuję tutaj od twórców znajomości zasady trójpodziału kadru, zastosowania linii wiodących czy innych „złotych zasad” kluczowych dla przykucia uwagi widza. Bardzo bym chciał, żeby służyło to zaznaczeniu nastroju lub klimatu danego ujęcia, ale najprawdopodobniej wynika to po prostu z niedopracowania. Czasem kamera jest za blisko czyjejś twarzy, czasem na ekranie pojawiają się tragicznie źle wyglądające flary, a w scenie po napisach z udziałem pana wicedyrektora ledwo widać cokolwiek, przez nieumiejętny color grading.

I tak dochodzimy do ostatniego, największego problemu tej produkcji – konstrukcja. Czym jest konstrukcja? W najprostszych słowach jest to połączenie wszystkich wyżej wymienionych elementów, a więc scenariusza, gry aktorskiej, konwencji i kompozycji w całość, przez reżyserię i montaż. Dlatego uważam ją za kręgosłup każdego filmu. Za jej pośrednictwem bowiem, autorzy prowadzą nas przez fabułę. Niestety, tu została ona całkowicie zlekceważona przez twórców. Chaotyczne cięcia, monotonia, z jakiegoś powodu brak muzyki (poza pojedynczymi momentami, które można policzyć na palcach jednej dłoni). W wielu momentach widać, że z powodu smętnego obrazu wygląda jakiś pomysł, jakieś ciekawe ujęcie, jakiś zabawny gag, jakaś próba zabawy którąś z konwencji, jest w tym nieco ambicji, ale wszystko to idzie na marne. Uważam, że idealnie problem ten podsumowuje scena, w której Marta zauważa detektywa w podziemiach pierwszy raz. Mamy tam naprawdę fajne ujęcie, w którym idzie w stronę kamery, a my nie wiemy jeszcze, co zauważyła, buduje się napięcie i nagle... wchodzi w dialog. Bardzo spokojny, z małą ilością emocji. Gdy pierwszy raz widziałem tę scenę, myślałem, że coś przegapiłem. Pomijając wszystko, co w tej scenie nielogiczne, jak np. po co Marta podchodzi do kogoś, kogo nie zna, po zauważeniu go w podziemiach szkoły, gdy nie powinno tam jej być. Zapomnijmy o tym, bo mamy tutaj dużo większy problem – zostało zbudowane napięcie, które zamiast rozładować z hukiem, przez jakieś zaskakujące ujęcie, muzykę, żart, a choćby i jakiś drobny jumpscare, schodzi z widza przez to, że na ekranie dalej nie dzieje się nic ekscytującego, a więc uświadamia sobie, że budowa napięcia do niczego nie prowadziła, nie było ciszy przed burzą – to była po prostu cisza.

Dlaczego zatem jest jak jest? Nie warto tu uważać szukać, czy wina leży po stronie reżyserii, montażu, scenariusza czy aktorów, bo pewnie jak to zwykle bywa, leży ona po trochu wszędzie, ewentualnie w jednych miejscach mocniej niż w innych. Czy film spełnił swoje zadanie? W zasadzie tak, sprawił że na premierze kilka razy parę osób się zaśmiało, a to jest jakby nie patrzeć główny cel tych filmów.



Wywiad z Maliną Mańko

To był Twój pierwszy film, który reżyserowałaś. Jak się czułaś?

Na początku bardzo się cieszyłam, czułam ekscytację, że czeka mnie tak duży projekt. Potem dotarło do mnie, ile obowiązków się z tym wiąże, ile stresu, ile nerwów, ile pracy i trochę mnie to przeraziło, ale na szczęście miałam świetną ekipę. Potem zgodziłam się na współreżyserię z Moniką, która też bardzo dużo robiła, więc ten stres trochę zszedł, ale presja wykonania filmu na czas dalej ciążyła nad nami. Momentami było ciężko, czasem chciałam sobie odpuścić, powiedzieć „dobra, nie dam rady”, ale nie odpuściłam i bardzo się cieszę z efektów, które osiągnęliśmy za sprawą ciężkiej pracy. Dużo stresu, ale dzięki wspaniałej ekipie się udało.

Powiedziałaś o stresie, o dobrej ekipie. Mogłabyś powiedzieć nam, jak wyglądały takie plany zdjęciowe, co było dobre, a co byś ulepszyła następnym razem?

Po tym jak napisałam scenariusz i całe Koło zaakceptowało pomysł na film, przeprowadziliśmy castingi, wybraliśmy osoby, co zajęło około tydzień i dopiero potem zaczęliśmy układać plan na nagrywanie, na co zszedł kolejny tydzień-dwa. Najgorzej jest układać plan, ponieważ często to było siedzenie do 3:00 w nocy, planowanie z dnia na dzień, zmienianie, bo ktoś się rozchorował. Ale jeśli chodzi o samo przebywanie na planie, to przychodziliśmy do szkoły normalnie na 8:00 i wyjmowaliśmy sprzęt. Jak mieliśmy plan, że na przykład tego dnia kręcimy na poddaszu, to cały sprzęt z kanciapy Koła Filmowego trzeba było przenieść na poddasze. O 9:00 zazwyczaj zaczynaliśmy nagrywki, nagrywaliśmy po kilka ujęć każdej sceny, żeby mieć z czego wybierać, żeby nie było tak, że nagramy jedną scenę i nagle podczas montowania okaże się, że jest źle albo, tak jak często było, że nagrywaliśmy scenę, patrzyliśmy, jak to wyszło i okazywało się, że gdzieś z tyłu cały czas ktoś stoi. Zamawialiśmy pizzę, oczywiście ze swoich pieniędzy, dlatego nasza ekipa nie głodowała. Zdarzało się, że siedzieliśmy nawet do 20:00 w szkole z Panem Profesorem Bednarskim, który sprawował nad nami opiekę. Na planie była bardzo fajna atmosfera. Mimo stresu albo krzyczenia, bo gardło było zdzierane codziennie, myślę, że warto było spędzić te 10 godzin dziennie na nagrywaniu.

Jak dobieraliście aktorów do filmu podczas castingu? Na co zwracaliście uwagę?

Wiadomo, że każdy z uczestników był nagrywany, oczywiście za jego zgodą, dzięki czemu mogliśmy potem analizować wspólnie nagrania. Na przykład mnie osobiście nie było na castingu, więc nie mogłam zobaczyć wszystkich na żywo, ale z Moniką i Michałem konsultowaliśmy się, patrzyliśmy na nagrania i zachowania. Mieliśmy jakiś pomysł na postacie, na przykład Maciek miał być zabawny, trochę odklejony, więc patrzyliśmy, kto najlepiej oddał charakter tej postaci. Nie chodziło nam o recytowanie z pamięci tekstu, ale przekazanie naszego pomysłu na daną postać. Zwracaliśmy szczególną uwagę na mowę ciała, bo to też jest bardzo ważne w filmie. Jak ktoś potrafi coś świetnie powiedzieć, ale stoi jak kotek, to niefajnie się to ogląda. Przy wyborze detektywa zdałam się na Monikę, ponieważ powiedziała, że widzi jednego chłopaka, który idealnie oddał jej pomysł na tę postać, więc zaufałam jej i oddałam sprawę w jej ręce. Ja miałam pomysł na Maćka, a resztę skonsultowaliśmy wspólnie i pytaliśmy innych członków Koła, więc casting to była taka wspólna decyzja dla dobra ogółu.

Skąd wziął się pomysł na scenariusz, co was zainspirowało?

Tak, jak na PMT wspominała Monika, początkowo ona miała pomysł na „Lucyfera”. Jednak nie byłam do tego przekonana do końca, bo niedużo osób zna ten serial i rozumie, o co w nim chodzi. Nagle wpadł mi pomysł na „Scooby-Doo!”, bo było 5 członków samorządu, jedna osoba, która zaginęła i jeden złoczyńca. Nawet mieliśmy przebrać aktorów za te postacie, ale pomyśleliśmy, że tylko Marta, czyli główna postać, się tam najbardziej angażuje i to nie pasuje za bardzo. Zdecydowaliśmy więc, że zrobimy coś swojego. Dodawaliśmy różne konspekty, na przykład na końcu filmu jest tekst „gdyby nie ten wścibski samorząd” – to jest nawiązanie do „Scooby-Doo!”. Jest kilka cytatów z „Asteriksa i Obeliksa: Misja Kleopatra”, między innymi monolog Otisa, czyli w naszym przypadku Maćka, monolog Skryby, który również przerobiliśmy tak, by pasował do naszych realiów. Myślę, że właśnie kilka takich małych pomysłów ktoś inny rozwinął bardziej, dzięki czemu powstał cały scenariusz. On powstawał wspólnie z całym Kołem, jednak najwięcej czasu spędziłam na nim ja, Monika Wróbel i Michał Czech.

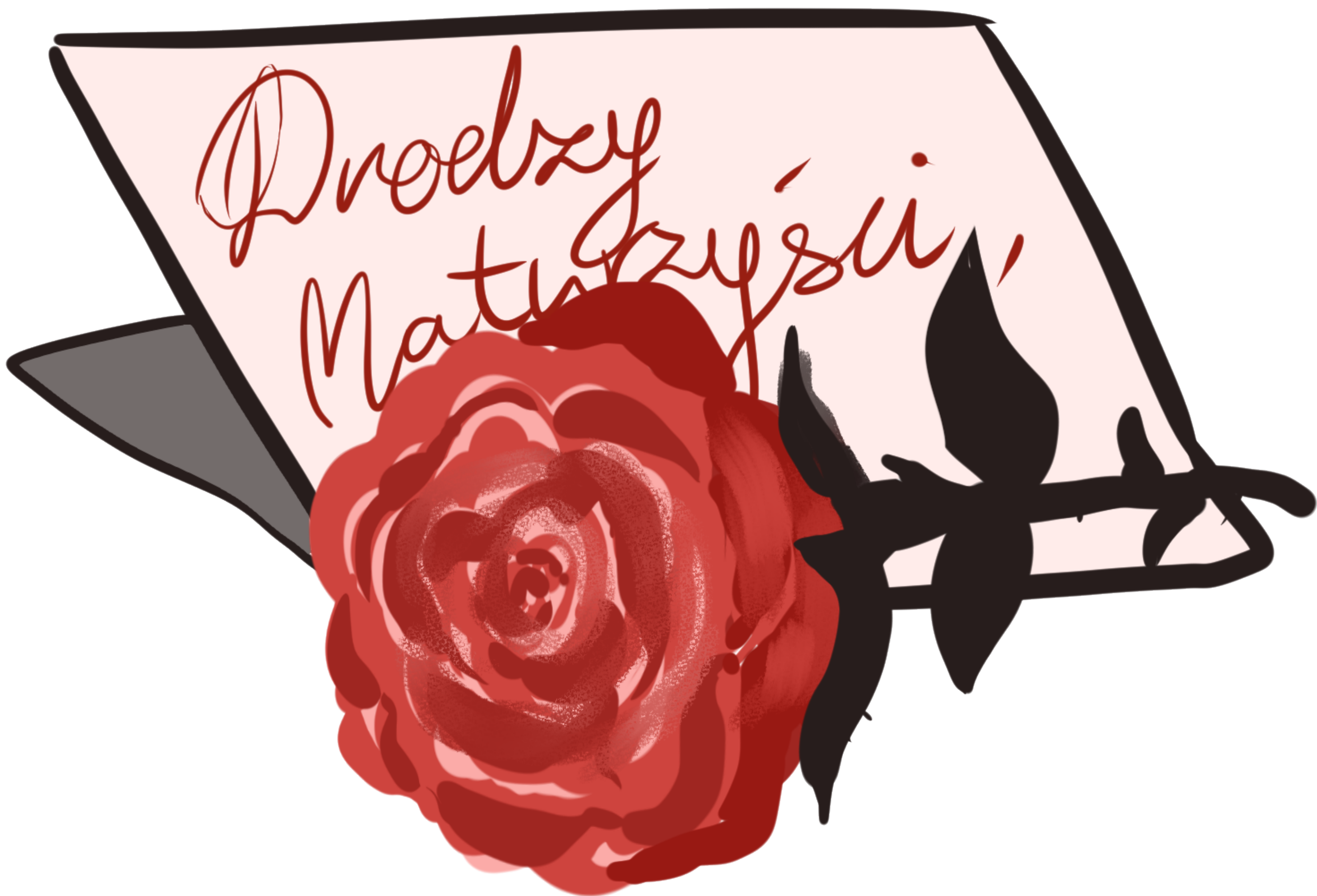
Co w tworzeniu filmu PMT wymaga najwięcej pracy i jest najbardziej angażujące?

Zdecydowanie planowanie dnia, planowanie nagrywek. W tym roku mieliśmy dużo aktorów, bo było ich aż siedmiu, do tego inne osoby z ekipy – dźwiękowcy, kamerzyści i oczywiście my. Na planie zdarzało się, że było 15 osób. Było dużo kłopotów z ogarnięciem wszystkiego tak, by każdy był zdrowy, gotowy, zwolniony z lekcji. Miała też miejsce taka sytuacja, że przez pierwszy tydzień nagrywek nic nie mogliśmy nagrać, bo dużo ponad połowa aktorów była chora. Mieliśmy tylko plan na pojedyncze sceny czy nawet jedynie pojedyncze ujęcia, więc byliśmy tak naprawdę tydzień w plecy. Pamiętam też noce, kiedy siedzieliśmy do tej 3:00 i zmienialiśmy coś na ostatnią chwilę, bo się nagle okazało, że na przykład Antek Jesień się rozchorował i nie możemy nagrywać połowy scen, które mieliśmy z nim zaplanowane. Na pewno do stworzenia dobrego filmu potrzebna jest taka umiejętność dobrej organizacji i planowania czasu.

Co Ci się najbardziej podobało w przygodzie związanej z tworzeniem filmu? Co było najprzyjemniejsze?

Mnie najwięcej satysfakcji sprawiało to, by widzieć proces powstawania filmu „behind-the-scenes”. Oczywiście wszystkie wpadki, które sprawiały nam wiele radości i śmiechu albo poczucie, że jest się częścią czegoś, może nie wielkiego, bo to nie jest jakiś pełnometrażowy film, ale na pewno czegoś dużego. Potem jest premiera, stres, bo może widowni nie spodoba się film, ale ta adrenalina, satysfakcja i spędzony czas z ludźmi na planie na pewno jest warty tych nieprzespanych nocy i stresu.

Wiktor Kucharski



Drodzy Maturzyści i Maturzystki,

Redakcja Dwutygodnika Nieobiektywnego życzy Wam, aby nadchodzący miesiąc był dla Was czasem relaksu i samorozwoju. Proponujemy przeczytanie tej książki, którą od pierwszej klasy zawsze odkładaliście na później, rozpoczęcie przygody z nowym sportem lub ekscentrycznym hobby, którym będziecie mogli zainteresować swoich nowych znajomych na studiach. Możecie też poświęcić się pracy społecznej, zaangażować w wolontariat lub zorganizować spotkanie ze swoją starą klasą z podstawówki.

Maturę macie już przecież w kieszeni. A jeśli nie jesteście tego pewni – tym bardziej życzymy, aby doczytywanie podręcznika do biologii nie przeszkodziło Wam w zrobieniu wyżej wymienionych rzeczy.

Do zobaczenia na studiach i połamania piór!

P.S. Życzę też męskiej części szkoły, żeby nie dostała wezwania na komisję wojskową na tę samą godzinę, co matura z polskiego.

Jakub Szerega



Klasycznie obiektywny komentarz w sprawie wyborów

Za nami kolejne wybory do Prezydium Samorządu Uczniowskiego i – w końcu, po latach przerwy – kampania przebiegała w niezakłócony pandemią sposób, a kandydujących komitetów było więcej niż dwa. W tym roku o niewątpliwie szeroką władzę rywalizowały: ~~Argentum Aurum Blane~~ Inicjatywa Władek; tak samo zabawne, jak w kampanii 2020 (wcale) W4U aka Make Władysław Great Again oraz dwa komitety, których nazwy już w sumie nikt nie pamięta, więc przypomnę: Władek Północ i zarejestrowany rzutem na taśmę Czarny Koń Wyborczy.

Inicjatywa ubiegająca się o reelekcję nie zaskoczyła niczym szczególnym – kampanię prowadziła w podobny sposób, co rok temu, ostrożnie planując posty, żeby nie wychodziło żenująco (nie wszystkim się to udało). Choć skład się nieco zmienił, najbardziej aktywne osoby – z wyłączeniem oczywiście maturzystów – zostały. I w ten sposób o drugą kadencję w roli Przewodniczącego Prezydium SU ubiegał się Igor Jobski.

Moi ulubieńcy – Make Władysław Great Again to grupa (głównie) technicznych z klasy 3C, którym nie podobał się sposób sprawowania mandatu przez ekipę Jobskiego. Postanowili więc zaproponować pewien rodzaj alternatywnej kampanii wyborczej, w której przedstawiane postulaty były w oczywisty sposób humorystyczne, absurdałne i niemożliwe do spełnienia. Trzeba przyznać, że jest to jakiś pomysł. Ich liderem został Bartosz Dźwigala.

Komitet z najliczniejszym gronem fanów, czyli Władek Północ zaskoczył wszystkich. Już w pierwszym poście autor zauważył, że nikt ich nie zna, nie przeszkodziło mu to jednak w rejestracji. Pisząc ten artykuł zorientowałem się, że muszę otworzyć instagrama, żeby być w stanie cokolwiek powiedzieć o ich programie. Otóż postulaty są aż cztery, w tym przykładowo „tworzenie wydarzeń w naszej społeczności” nazwane zbiorczo „integracją”. Grubo. Ich kandydatem na Przewodniczącego był Michał Bulaszewski.

Teraz Czarny Koń Wyborczy, którego nazwa dobrze oddaje charakter ich udziału w przedwyborczym wyścigu. Krążą pogłoski, że partia ta zarejestrowała się już na Przeglądzie Młodych Talentów – w ostatniej chwili, w której tylko mogli. Szczerze i bez ironii przyznaje, że przyłożyli się do napisania programu i zdecydowanie mają jakąś wizję naszej szkoły. Niestety, okazało się to za mało, żeby rywalizować z dwoma pierwszymi komitetami. Ich prezeską była Karolina Brzoška.

Przebieg kampanii był dość spokojny, czego dowodem może być nieznaczna aktywność wszelkich pejów corocznie tworzonych w celu komentowania wyborów. Wyklarował się nam mimo to jeden profil, który, zachęcony pozytywnym odbiorem treści, postanowił kontynuować działalność także po uzyskaniu mandatu na pełnienie drugiej kadencji przez Inicjatywę. Memywyborcze_wladyslaw, powodzenia!

Najciekawszym wydarzeniem w całym procesie związanym z wyborami miała być debata. Wszystko było na dobrej drodze, lecz wtedy pojawili się chłopaki z MWGA ze swoimi zastrzeżeniami dotyczącymi potencjalnego prowadzącego (mnie.). Z bólem serca przyznaję, iż udało im się zablokować moją kandydaturę, cieszę się jednak, że mimo to debata nie była arcynudna. Obok doświadczonej już Martyny Gumiennej stał Karol Kołtyś całkiem nieźle radzący sobie w nowej dla niego roli.

Wiktor powiedział, że bym nie przesadzał z długością, bo nikt tego nie przeczyta, więc pokrótce tylko przypomnę, że wybory wygrała Inicjatywa z ponad stułłosową przewagą nad MWGA, na trzecim miejscu uplasował się Władek Północ, a zaraz za nimi był (nie taki) Czarny Koń Wyborczy.



Lapidarne piękno?

Humanista i podróżnik, nazywany „mistrzem kreski”. Choć brzmi to jak opis prawdziwego człowieka renesansu, mam na myśli klasyka sztuki XX wieku, Tadeusza Kulisiewicza, którego wystawę miałam niedawno przyjemność odwiedzić.

Urodzony 13 listopada 1899 roku w Kaliszu, już od najmłodszych lat miał kontakt ze sztuką. Jego ojciec, Walenty Kulisiewicz, był artystą rzemieślnikiem. Na początku swej artystycznej drogi zdobył uznanie dzięki grafikom powstałym przy pomocy techniki suchorytu oraz drzeworytu. W 1945 roku stworzył jeden ze swoich najsztywniejszych cykli – „Ruiny Warszawy”. W latach późniejszych, jego prace inspirowane były głównie podróżami za granicę.

Sama wystawa, która odbywa się w Zachęcie, była skonstruowana tak, by widz mógł poczuć atmosferę towarzyszącą twórczości Kulisiewicza. Zabiera ona odbiorcę na pewnego rodzaju duchową wyprawę. Mamy możliwość zaobserwowania, jak wraz z upływem czasu zmieniał się styl artysty – poznając jego dzieła od tych pierwszych do tych ostatnich (albo na odwrót, jeśli tak, jak ja pomylicie sale i zaczniecie zwiedzanie od końca).

Tym, co najbardziej urzekło mnie w sztuce tego artysty jest zdecydowanie prostota. W rysunkach Tadeusza Kulisiewicza jedna linia znaczy więcej niż sto w wielu innych. Ekspresja jego szkiców, szczególnie tych przedstawiających Indie, w połączeniu z kontekstem kulturowym i historycznym tworzy niezwykłą historię. Bo do czego służy sztuka, jeśli nie do opowiadania tego, czego nie da się ubrać w słowa?

Obok jego dzieł nie można przejść obojętnie. Bywają druzgocące, wstrząsające, a nawet przerażające, ale otwierają oczy. Skłaniają, wręcz zmuszają, do refleksji. To taki rodzaj twórczości, która zostaje z człowiekiem na zawsze.

Zofia Pawlak

Absolwent z przytupem

Postać Kazimierza Leskiego „Bradla” jest przez Władysławiaków raczej rozpoznawana, choćby przez poświęconą mu tablicę pamiątkową na pierwszym piętrze. Ale postać ta zasługuje na więcej niż dwa zdania wyryte w marmurze, dlatego postaram się przybliżyć jej losy w tym artykule.

Po opuszczeniu naszej szkoły Leski kształcił się na politechnice w holenderskim Delft. Nauczył się tam budowania okrętów i poznał Europę Zachodnią, zarówno pod względem kulturowym, jak i językowym. Posługiwał się płynnie niemieckim, francuskim i angielskim. Po ukończeniu edukacji pozostał w Holandii, gdzie współtworzył polskie okręty podwodne ORP „Orzeł” i ORP „Sęp” (budowano je w stoczeniach holenderskich). Chwalono go jako innowacyjnego inżyniera, który wprowadzał do konstrukcji nowatorskie rozwiązania.

Wojna zastała go już w Polsce. Podczas lotu na wschód w połowie września jego samolot został zestrzelony przez Armię Czerwoną. Leski cały się połamał, udało mu się jednak dostać do Warszawy i wyleczyć złamania, a następnie zaangażować w działalność konspiracyjną. Od samego początku ciągnęło go do wywiadu, choć przed wojną nie miał w tej dziedzinie żadnego doświadczenia. W 1941 r. zlecono mu misję o kryptonimie „666”. Jego zadaniem miało być udanie się do Europy Zachodniej i otwarcie nowych szlaków do Anglii dla kurierów Armii Krajowej. Z początku podróżował jako pracownik kolei, ale ta przykrywka tworzyła zbyt wiele komplikacji i za mało możliwości. Wpadł więc na szalony, ale, jak się okazało – zupełnie wykonalny pomysł. „Bradł” podszył się pod generała Wehrmachtu. Następne podróże odbywał już jako Julius von Hallman, specjalista od budowy fortyfikacji, członek sztabu marszałka Gerda von Rundstedta w Paryżu.

To ostatnie to nie pustostowie. Leski nie tylko przemieszczał się wojskowymi pociągami, ale rzeczywiście zinfiltrował niemieckie dowództwo i rozmawiał z wysoko postawionymi oficerami. Udało mu się w ten sposób uzyskać część planów Wału Atlantycznego, fortyfikacji budowanych na wybrzeżu Francji w oczekiwaniu na inwazję Aliantów, a potem – po prostu zniknął. Główne cele jego misji także zostały zrealizowane. Dzięki kontaktom z socjalistycznym podziemiem w Hiszpanii i francuskim ruchem oporu udało mu się wytyczyć nowe ścieżki na zachód dla agentów Armii Krajowej.

Mimo zakazu Kazimierz brał udział w powstaniu warszawskim. Zorganizował własną kompanię „Bradł”, która weszła w skład batalionu „Miłosz”. Po upadku zrywu uciekł z kolumny jenieckiej i kontynuował działalność konspiracyjną. Po rozwiązaniu AK podjął zwykłą pracę w Stoczni Gdańskiej, ale dosięgli go agenci Urzędu Bezpieczeństwa. Podobnie jak inni działacze AK i WiN, mimo okazywanej podczas wojny bohaterskiej postawy skazano go na dwanaście lat więzienia za rzekomą kolaborację. Wyszedł na wolność w 1955 roku. Pracował jeszcze w Polskiej Akademii Nauk, a w latach dziewięćdziesiątych przewodniczył Związkowi Powstańców Warszawskich. Otrzymał tytuł Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. Zmarł w roku 2000, a jego życiorys mógł posłużyć za inspirację twórcom serialu „Stawka większa niż życie”.

Uczcie się języków i budujcie okręty, a może będziecie jak on.

Jakub Szerega

Zainteresowanych odsyłam do artykułu o Leskim na portalu dzieje.pl, który był głównym źródłem dla tego tekstu.

Zrezygnował król, niech żyje król!

Być może ktoś jeszcze pamięta, ale w czerwcu ubiegłego roku napisałem swój pierwszy artykuł do naszej szkolnej prasy, w którym zapowiadałem Turniej Kandydatów, który niedługo później odbył się w Madrycie. Były to czasy, gdy wydanie elektroniczne gazetki pozostawało jedynie marzeniem niezdążających na rozchodzące się jak świeże bułeczki prestiżowe papierowe wydania Dwutygodnika. Nadeszły jednak nowe czasy i każdy może przeczytać stare oraz nowe numery na stronie linktr.ee/nieobiektywny.

Turniej Kandydatów odbył się i do meczu o Mistrzostwo Świata awansował Ian Nepomniachtchi, który powinien się zmierzyć w nim z Magnusem Carlsenem. Temu jednak znudziło się ogrywanie tych samych przeciwników kolejny raz w tym samym formacie, więc kiedy nie udało mu się dojść do porozumienia z FIDE (Międzynarodową Federacją Szachową) w sprawie nowego formatu, zrezygnował z gry o ponowną obronę tytułu. Przeciwnikiem Rosjanina został więc Chińczyk, Ding Liren, który w Turnieju Kandydatów zajął drugie miejsce. Jako faworyta wskazałbym minimalnie tego pierwszego, ponieważ ma on większe doświadczenie i lepsze wyniki w bezpośrednich partiach ze swoim rywalem. Znany jest z bardzo szybkiej gry, nawet w partiach klasycznych, ale jest przy tym bardzo dokładny. To jednak nie wystarczyło, by pokonać Carlsena pod koniec 2021 roku i tamten mecz o mistrzostwo świata zakończył się zwycięstwem Norwega 7,5:3,5. Biorąc pod uwagę tendencje remisowe partii arcymistrzów na najwyższym poziomie, była to miazga. Na korzyść Rosjanina grającego z oczywistych przyczyn politycznych pod flagą FIDE przemawia także aktualna forma. Może i Nepo nie ma jakiejś wybitnej, ale na pewno nie gorszą od tej Dinga. Można być jednak pewnym, że każdy z tych zawodników będzie gotowy i wyciągnie jakiegoś asa z rękawa w kwestii przygotowania debiutowego.

Pisząc o zbliżającym się meczu trudno napisać o samych kwestiach sportowych. Wiadomo bowiem, że niezależnie od tego, który zawodnik wygra, to i tak każdy będzie wiedział, że ten szachista nie jest najlepszy na świecie. Znaczący jest na przykład fakt, że Carlsen zaczął brać udział w turniejach w... pokera. Najbliższy szachowy event jest też chyba najgorszy w historii pod względem promocji. Gdybym nie pamiętał, że zaczyna się on w Wielkanoc, mógłbym zapomnieć, że w ogóle jest jakiś mecz. Mam wrażenie, że sam bym zrobił lepszy marketing temu wydarzeniu. Tak samo jak grafiki. Pierwsze grafiki, które zostały opublikowane były po prostu nieczytelne i uważam, że zrobiłem lepszą w ramach pracy domowej z informatyki. Panuje ogólne przekonanie, że nadchodzący mecz będzie mało wart i niewiele osób interesuje. Nie ma jednak co się dziwić takiemu stanowi rzeczy. Każdy chce zobaczyć, jak grają najlepsi, szkoda tylko, że najlepszy woli grać w pokera.

Siódmego kwietnia odbędzie się ceremonia otwarcia, dziewiątego rozegrana zostanie pierwsza partia. Tak, jak napisałem wcześniej, myślę, że nowym mistrzem świata zostanie Nepo, ale kibicować będę Dingowi, wcaaaale nie dlatego, że Rosjanin jest na niektórych zdjęciach podobny do Pana Profesora Markiewicza. Korzystając z okazji, chciałbym zaprosić Ciebie, szanowny Czytelniku, do dołączenia do Sekcji Szachowej, która daje sporo możliwości i integruje wszystkich szachistów we Władku. Nawet jeśli nie znasz zasad gry w szachy, to postaramy się Ciebie nauczyć. Będą rozgrywane turnieje sparingowe online, a członkowie sekcji będą mieli pierwszeństwo zapisów podczas turniejów stacjonarnych lub możliwość reprezentowania szkoły na zawodach. Aby się zgłosić, wystarczy napisać do mnie prywatną wiadomość, że ma się taką chęć. Zapraszam również do dołączenia do redakcji Gazetki Szkolnej (Wiktora Kucharskiego) lub Sekcji eventowej (Maksa Kowalczyka), która również jest świeżynką. Jeśli ktoś chce się bardziej zaangażować w życie szkoły, to to jest ku temu idealna droga.

Amadeusz Kozikowski



Opowiadanie konkursowe „Co by było gdyby padał czekoladowy śnieg”

Poniedziałek, 12:10. Urwałem się z lekcji polskiego, bo mój mózg wyłączył się w momencie, gdy sześćdziesiąty dziewiąty raz usłyszałem słowo „matura”. Potrzebowałem odetchnąć. A w szczególności coś zjeść – gdy spieszysz się na sprawdzian u prof. Kostrzewy, nie masz czasu na śniadanie.

Głód dawał mi się we znaki od dobrej godziny. Dlaczego nie poszedłem do bufetu na przerwie? Jak zwykle, nie było mowy o kupnie czegokolwiek podczas długiej przerwy. Liczba osób w kolejce zawsze sprawia, że odechciewa mi się wszystkiego. Poszedłem więc w czasie polskiego. Jak można się było spodziewać, bufet świecił pustkami. Zadzwońtem dzwonkiem i w następnej chwili spod lady wyłoniła się kobieta, której wcześniej tu nie widziałem. Nie przejmując się tym zbytnio, poprosiłem ją o kanapkę na ciepło.

–To będzie 12 złotych – usłyszałem i spojrzałem na sprzedawczynię z przestrawieniem.

– Ale czy...? – zacząłem, jednak przerwała mi w pół zdania.

– 12 złotych się należy – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Na jej twarzy tkwił dziwnie sztuczny uśmiech. Miałem wrażenie, że ona nawet nie mruga.

Wyciągnąłem portfel i wyłożyłem na ladę wszystkie swoje oszczędności.

– Czy mogę być winny grosik?

Pokręciła głowę. Jej wyraz twarzy nie zmienił się – był tak samo pusty i sztuczny. Przetknąłem ślinę i zacząłem grzebać po kieszeniach. Całe szczęście, znalazłem złotówkę. Wziąłem resztę, a chwilę potem odebrałem swoją kanapkę. Wyszedłem.

Byłem święcie przekonany, że jeszcze niedawno za tę samą kanapkę zapłaciłbym 8 złotych. Tempo inflacji w bufecie zaczęło mnie przerażać. Nie minęła nawet połowa miesiąca, a ja zdążyłem wydać wszystkie swoje oszczędności na jedzenie w szkole.

Przełała się szala goryczy. Doszedłem do wniosku, że tak dłużej być nie może. Jeśli nic się nie zmieni, to najpierw zostanę bankrutem, a potem umrę z głodu. A jeszcze chciałbym zdać maturę.

Tego dnia, na moim wygwizdowie zaobserwowałem... dość nietypowe zjawisko. Kojarzycie może film „Klopsiki i inne zjawiska pogodowe”? Cóż, to było... coś w tym stylu. Nie bierzcie mnie za wariata – wiem, co widziałem.

Leżałem akurat na łóżku, wlepiając wzrok w okno na suficie i powtarzając sobie cykl Krebsa. Zapiszczał mi wtedy zegarek, oznajmiając, że wybiła północ. W tej samej chwili, na oknie zaczęły pojawiać się dziwne, brązowe plamy.

Wstałem z łóżka i przyjrzałem się szybie, marszcząc brwi. Moje okno wyglądało tak, jakby ktoś posypał je kakao. W pierwszej chwili pomyślałem, że to kolejny żart mojego brata. Doszedłem jednak do wniosku, że dzieciak wzrostu Igora Jobskiego nie byłby w stanie wdrapać się na dach. Poza tym, on nawet nie wie, gdzie trzymamy kakao.

Po cichu wyszedłem przed dom. To co zobaczyłem w świetle lamp ulicznych... cóż, przeszło moje wyobrażenia.

Moje podwórko wyglądało jakby było zasypane kakao. Co więcej, ten brązowy proszek zdawał się padać z nieba. Zacząłem się zastanawiać, czy kobieta w bufecie nie dosypała mi czegoś do kanapki.

Patrzyłem w górę dość zdezorientowany, gdy poczułem, jak coś otarło mi się o nogę. Gwałtownie opuściłem głowę i dostrzegłem mojego psa liżącego chodnik.

– Pitagoras!!! – wydusiłem i oderwałem zwierzaka od kostki brukowej. Spojrzałem na niego karcąco, a on tylko się oblizał.

Odstawiłem psa do domu, a sam postanowiłem przyjrzeć się tej bliżej niezidentyfikowanej substancji pokrywającej moje podwórko. Po dokładniejszej obserwacji doszedłem do wniosku, że jest to coś pomiędzy kakao a... śniegiem. Mówiąc wprost – to dosłownie wyglądało jak czekoladowy śnieg.

Stałem tak jakiś czas, zastanawiając się, co z tym zrobić. Powiedzmy sobie szczerze – hasło „brązowy śnieg” nie kojarzy się zbyt dobrze. Ale ja byłem ciekaw. I dobrze wiedziałem, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Lecz nie co dzień znajdujesz na podwórku czekoladowy śnieg. Nabrałem go nieco w dłoń i powąchałem. Pachniało dość przyjemnie, co było dobrym znakiem. Może jednak nie było czego się obawiać?

No i zrobiłem to. Polizałem. Ale nie oceniacie, ponieważ nie znacie dalszej części historii. Całe szczęście, miałem rację, twierdząc, że to czekoladowy śnieg. Przysięgam, na moim podwórku znajdowały się potacie lodów czekoladowych.

No właśnie. Lodów czekoladowych.

To był właśnie ten moment, kiedy mnie olśniło.

Pobiegłem do garażu po łopatę i zebrałem śnieg w jedno miejsce. Następnie wziąłem parę wiader i zappełniłem je moim zapasem lodów. Wszystko przeniosłem do kuchni i upchnąłem w zamrażalniku.

Wróciłem do swojego pokoju, ziewając. Miałem nadzieję, że nie mam zwidów i że gdy rano wrócę do kuchni, to naprawdę znajdę tam litry czekoladowych lodów.

Położyłem się do łóżka i zasnąłem.

Następne dni były szalone. Lody na szczęście nie wyparowały z zamrażalnika, więc mogłem realizować swój plan. Pożyczyłem trochę kasy od kumpla i zaopatrzyłem się w zapas wafli w kształcie stożka. Wygrzebałem też przenośną zamrażarkę w piwnicy. Z kuchni wziąłem natomiast serwetki oraz parę tyłek i kubków.

To był jeden z tych momentów, kiedy uświadomiłem sobie, jak dużą wygodą jest posiadanie własnego auta. Po prostu wpakowałem moje nietypowe zapasy do samochodu i nikt nie zadawał pytań. Dobrze, że nie jeżdżę fiatem 500, bo do tej imitacji bagażnika nie wcisnąłbym nawet palca.

Jeśli chodzi o Władka, to musicie wiedzieć jedno: kluczowym jest, by mieć tu odpowiednie znajomości. Właśnie dzięki temu, realizacja mojego planu nie przysporzyła mi zbyt wielkich problemów.

Moją siedzibą był stary schowek na papier toaletowy. Nie była to zbyt wyszukana miejscówka, ale wystarczała. Wstawiłem tam dwie ławki i rozłożyłem wszystko co ze sobą przywiozłem.

Tak zaczął się mój lodowy biznes. Prowadziłem sprzedaż na długich przerwach w piątki oraz podczas potańcówek i wieczorów filmowych. Najwięcej jednak zarobiłem podczas Kawiarenki Nauczycielskiej i PMT. To jedyne dni w roku, kiedy w szkole zbiera się ponadprzeciętnie dużo osób – był więc duży popyt na lody.

Zastanawia was pewnie, jakim cudem nie skończyły mi się zapasy. Cóż, incydent z czekoladowym śniegiem powtórzył się niejednokrotnie. Dłuższa obserwacja pozwoliła mi postawić tezę, że to zjawisko zachodzi trzynastego dnia miesiąca o północy. Wykorzystywałem więc ten fakt i biznes się kręcił.

Byli tacy, którym przeszkadzało, że oferuję tylko jeden wariant smakowy, ale nie przejmowałem się nimi. Kasa się zgadzała, a to było najważniejsze.

Inni dociekali natomiast, skąd mam taki towar. Oczywiście, prawdziwy magik nie zdradza swoich sztuczek, więc nikt nie poznał odpowiedzi na to pytanie. Poza tym, nawet gdybym im powiedział prawdę, to uznaliby mnie za wariata.

Pojawił się też gość od miodu, który chciał nawiązać współpracę. Nie wiem, czy to ma w ogóle jakąś przyszłość, ale rozważę jego propozycję, bo ma wyjątkowo smaczny asortyment.

Ja natomiast stałem się kimś w rodzaju celebryty. I to bogatego celebryty. Nie dość, że byłem rozpoznawalny w szkole, to mój lodowy biznes prosperował tak dobrze, że nie narzekałem na brak pieniędzy. Zastanawiałem się tylko, czy Sanepid mnie nie dojedzie.

Zwieńczeniem mojego sukcesu była wycieczka do bufetu, którą odbyłem po paru tygodniach pracy jako sprzedawca lodów. Trafiłem akurat na przerwę obiadową, więc oczywiście kolejka ciągnęła się aż do drzwi wejściowych. Jednak tym razem, to nie stanowiło problemu. Ludzie rozstąpili się, gdy tylko ruszyłem w stronę lady.

Znalazłem się oko w oko z kobietą, która tamtego pamiętnego dnia sprzedała mi kanapkę na ciepło po zawyżonej cenie. Co zamówiłem tym razem? Dokładnie to samo.

– 12,99 – powiedziała.

Jak widać, inflacja postępowała dalej. Ale mnie to już nie obchodziło. Wyłożyłem na ladę banknot dwustuzłotowy. Przez twarz sprzedawczyni przemknął wyraz zaskoczenia, ale szybko zastąpiła go wyraźna irytacja. Wyjęła kilka banknotów z kasy i spojrzała w przestrzeń, wyraźnie zamyślona.

– Czy mogę być winna grosik? – wykrztusiła.

Pokręciłem głowę i uśmiechnąłem się chytrze. Teraz ja byłem panem sytuacji

TOP 6

przedmiotów we Władystawie IV

Oto kolejny – nie pamiętam, już który – numer najbardziej nieobiektywnego miesięcznika we Władystawie IV. Numer okaże się przed świętami Wielkiej Nocy, zatem Wesółego Alleluja!

1. WOS – biorąc pod uwagę, że tę gazetkę tworzą Społeki i czytają też głównie oni to musiało pojawić się na pierwszym miejscu. Czym WOS jest? Lepiej by było spytać czym nie jest, bowiem lekcje zawierają faktycznie WOS, ale i godzinę wychowawczą, a nawet filozoficzne rozterki na życiowe tematy czy też, jak miałeś szczęście bądź też nieszczęście znaleźć się w 3A, śmianie się z Igora Jobskiego.

2. Kreda w sali 210 – jeśli kiedykolwiek poczułeś się bezużyteczny, to pomyśl o tym, że Pani Błachowicz nie użyła stamtąd kredy chyba nigdy (?). Prawdopodobnie zastanawiasz się, po co ta kreda tam jest skoro używana jest raz na ruski rok i właściwie lepiej pasowałaby tam tablica multimedialna. Odpowiedź na to pytanie oraz na to, czy zdam z matematyki w tym roku brzmi dokładnie tak samo: nie wiem.

3. Język niemiecki – osobiście nie uważam, że istnieje Władystawiak, który nie usłyszałby nigdy nazwiska „Kostrzewa”. Atmosfera na lekcjach szwabskiego jest nie do uzyskania w innych warunkach, można nawet powiedzieć, że nie do podrobienia. Fakt, trzeba zachować die Achtung, bowiem odpowiedź przychodzi w losowej kolejności i zniecka niczym urzędnik mówiący, że rogaliki, które sprzedawałeś z babcią są nieopodatkowane i musicie zapłacić karę. Mimo to bardzo przyjemnie słucha się opowieści Pani Profesor, bo definitywnie ma wiele do opowiadania.

4. Twoja szafka – nie, nie piszę tutaj o ogóle szafek. Mówię o TWOJEJ. Widziałem co Ty, Drogi Czytelniku, tam włożyłeś. Bardzo nieładnie.

5. Stoły pingpongowe – to chyba najbardziej kontrowersyjna pozycja na tej liście zaraz po Twojej szafce. Potrafią one dostarczyć dużo zabawy na przerwach, ale także, bądź co bądź, utrudniają uczniowską cyrkulację wewnątrzszkolną. Mimo to uważam, że można z nich zrobić bardzo dobry użytek w większości sytuacji.

6. Twój ulubiony przedmiot! – pora na interaktywną część gazetki, bo czasem trzeba by chociaż udawać, że Redakcja liczy się ze zdaniem ludu pracującego. Zatem, jaki jest twój ulubiony przedmiot we Władku i dlaczego? Napisz na Instagramie gazetki „@dwutygodnik_nieobiektywny”.

Andrzej Woźniak

PODRYW NA RZEPĘ

Czyli karkonoskie legendy

Ubiegła sobota zaczęła się zupełnie niewinnie; wszystko szło dobrze, do momentu, gdy nie dotarła do mnie wiadomość z cyklu „Termin na wymyślenie tematów artykułów był do wczoraj! Wczoraj!”. I wraca moje codwutygodniowe *déjà vu*: chyba nie mam żadnego pomysłu... Chciałam zatem tylko powiedzieć, że Karkonosze to nie są jakieś moje ulubione góry, ale poratowały mnie jako przypadkowy, awaryjny (i cringowy) temat, więc, nie przedłużając dalej - miłej lektury... i postawcie, proszę, na tym artykule jedno wielkie „XD”.

Dawno, dawno temu, a nawet i jeszcze dawniej żyła sobie piękna księżniczka. Mieszkała oczywiście w wielkim zamku, otoczona wytworną świtą, bogactwami i wiernymi poddanymi. Dla niej ważny był jednak tylko Ten Jedyny – odważny, szarmancki, superprzystojny: książę Bolko Świdnicki (dla przyjaciół Bolko). Warto przy tym nadmienić, że był on z naszą księżniczką Dobrogniewą zaręczony i spędzali razem cudowny, przepiękny miłością czas. Niestety, tak jak tłumy szalały za Dobrogniewą, tak i Bolko miał licznych konkurentów, którzy wciąż nie mogli pojąć, że księżniczka jest już zajęta. O ile większość dawało się łatwo spławić, tak jeden okazał się bardziej uciążliwy od innych...

Z dawien dawna Karkonosze zamieszkiwał samowładny Duch Gór. Nie był to bynajmniej miły Duszek Kasperek, ale stary, wredny, zawistny, egoistyczny i tak dalej zgred. Pewnego dnia przechadzał się w pobliżu świdnickiego zamku, gdy nagle mignęła mu postać pewnej znanej nam księżniczki. Zakrzyknął wtedy:

– Pisk, skrlitgrth pisk! – co, gdyby Duch w celu podglądania nie zamienił był się w wiewiórkę, znaczyłoby: „Cóż za piękna niewiasta! Muszę ją mieć!”.

I porwał Dobrogniewę [dam dam daam!].

Lecieli cały dzień i całą noc, i gdy wreszcie księżniczka zdarła sobie gardło ciągłym krzykiem, tudzież protestami, jej oczom ukazała się potężna, dostojna góra – Śnieżka, siedziba Ducha Gór. Porywacz poszybował w dół i wkrótce oboje stanęli we wnętrzu masywu. W środku wyglądał całkiem imponująco, trochę jak Moria u Tolkiena. Złoczyńca nie uwzględnił jednak faktu, że Dobrogniewa nie była krasnoludem i, o dziwo, nie odpowiadało jej mieszkanie w środku góry, a przede wszystkim nie odpowiadał jej sam gospodarz.

Na szczęście księżniczka była mądrą i sprytną osóbką, dlatego, gdy tylko przekroczyła próg swojego więzienia, zaczęła obmyślać plan ucieczki.

– Ach, Duchu Gór, jakaż ja jestem nieszczęśliwa. Jak ja, przedstawicielka klasy panującej, mam się obejść sama? Służba! Potrzebuję służących! O, ja nieszczęsna...!

Jęczała tak i jęczała, aż w końcu władca Karkonoszy wpadł na wspaniałomyślny pomysł, by podarować ukochanej rzepę. Tak, rzepy – ale magiczne rzepy [ooooh!]. Cały tuzin rzep! Każda z nich mogła zamienić się, w co tylko Dobrogniewa sobie zażyczy, również w NPC-służbę. Haa, ale jeśli myślicie, że księżniczka rzeczywiście była burżujką, chcącą niezliczonych rzeszy dwórek i pokojówek, to się grubo mylicie! To był podstęp [muahaha!].

– A cóż to? Zdaje mi się, że widzę tylko jedenaście rzep, a przecież miało być dwanaście. – zauważyła. Nie przeliczyłbyś ich jeszcze raz, proszę?

Duch Gór zabrał się do kalkulowania. Dobrogniewa tylko na to czekała; w mgnieniu oka chwyciła jedną rzepę, zamieniła ją w kruka i dała mu list do ukochanego Bolka. Ptak zdążył wyfrunąć przez okno zanim gospodarz się zorientował – i pierwsza część planu była gotowa.

A tymczasem Duch Gór zauważył rzepowy ubytek.

– Rzeczywiście, jest tylko jedenaście. W takim razie skoczę szybko do borów i zaraz będziesz miała komplet.

I w tym samym momencie, w którym porywacz wyruszył na poszukiwanie rzepy, książę wyruszył na poszukiwania księżniczki.

Bolko wkrótce stanął u podnóża Śnieżki i zawołał z cicha:

– Najdroższa, gdzie jesteś?

– Na górze. Nie mogę otworzyć drzwi, rzepy też nie dają rady – dodała.

Bolko postanowił rozsądnie zignorować drugą część zdania, wyważył drzwi i posadził Dobrogniewę przed sobą na koniu. Wtem dobiegł ich głos, gniewny jak huk gromu.

– Oszukałaś mnie, zła kobieto! I ty, podły młodzieńcze! Wyzywam cię na pojed...

– Pojedynek na liczenie – weszła mu w słowo księżniczka. – Kto pierwszy policzy deltę z rzep, ten zostanie moim mężem.

– Masz mnie za głupca? Nie będę liczył delty! To nie fair.

(No, może to nie do końca tak było. Oficjalna wersja szła tak...)

– Kto pierwszy policzy wszystkie rzepy w Karkonoszach, ten zostanie moim mężem.

Duch Gór znów zaczął liczyć rzepy, a w tym czasie Bolko z księżniczką oddalili się po cichu w kierunku zamku.

– Wiesz, Dobrogniewo, ja chyba nie do końca rozumiem, o co chodzi z tymi rzepami...

– I słusznie – odpowiedziała uśmiechnięta księżniczka. – Ale wiesz, kto jeszcze nie wie, co się dzieje? Nasz kochany Liczyrzep. Hahaha...

– Masz rację. Hahaha... [cringe...]

Gdy tylko Bolko z Dobrogniewą dojechali do zamku, wzięli ślub i żyli długo i szczęśliwie. A odtąd Duch Gór już zawsze nazywany był złośliwie Liczyrzepem.

Koniec

Monika Bitner

TAJLANDIA

Witam w nowej serii artykułów pt. „Władek dookoła świata”. Będzie to seria poświęcona ciekawostkom o kulturze i zwyczajach różnych krajów. Jako pierwszą przedstawiam Wam... **TAJLANDIĘ!**

Tajlandia – kraj uśmiechów, żywych kolorów, bujnej roślinności i pysznego jedzenia. Stolicą jest **Bangkok**. I tu chciałabym opowiedzieć pierwszą ciekawostkę. Otóż pełna nazwa miasta jest wpisana do Księgi Rekordów Guinnessa jako najdłuższa nazwa geograficzna świata: Krung Thep Mahanakhon Amon Rattanakosin Mahinthara Ayuthaya Mahadilok Phop Noppharat Ratchathani Burirom Udomratchaniwet Mahasathan Amon Piman Awatan Sathit Sakkathattiya Witsanukam Prasit. Tak, to jest nazwa miasta. Domyślam się, że nikt z Was jej nie przeczytał. Nie dziwię się. Sama poddałam się po pierwszym słowie. Jednak dla przeciętnego Taja wypowiedzenie tej nazwy bez zająknięcia to żaden problem. Imponujące, nie sądzicie?

Każdy z nas stał kiedyś w korku. I każdy zna tę mękę czekania, aż coś w końcu się ruszy i błagania w duchu, żeby być jak najszybciej w domu. W Tajlandii odpowiedzią na ten dylemat jest... **tuk tuk**. Czym jest tuk tuk? Jest to trójkołowy pojazd pełniący funkcję taksówki, trochę podobny do motoru z przyczepą. Pojazd jest idealnym rozwiązaniem na bardzo zatłoczone ulice. Kierowca zadba o to, żebyś ominął cały korek, manewrując między samochodami czy autobusami, stojącymi na obu pasach. Taka przejażdżka przysparza sporo emocji i adrenaliny, ale dla tamtejszych mieszkańców to coś całkowicie normalnego.

Jednymi z najpopularniejszych zwierząt w Tajlandii są **małpy** (dokładniej makaki krabożerne). Mają one nawet swoje własne miasto – Lop Buri. Życie tej rozbrykanej społeczności skupia się wokół świątyni Prang Sam Yot, a w listopadzie, właśnie tam, odbywa się święto małp, podczas którego ludzie zastawiają stoły ogromną ilością małpich przysmaków. I nie przesadzam, mówiąc o ogromnej ilości, bo stoły uginają się pod ciężarem całego jedzenia. Małpki to oczywiście przestodkie zwierzątka, ale należy pamiętać, że są też niezłymi rozrabiakami. Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że gdy karmiłam te małe stworki orzechami, jedna z małp wyrwała mi cały woreczek i uciekła, pałaszując wszystkie sama. Chociaż muszę przyznać, że banany jadły jak prawdziwe damy. Obierały i wyrzucały za siebie skórki, a potem w dwóch gryzach pochłaniały owoc. Takie są to żartoczne bestie.

Jeżeli już jesteśmy przy zwierzętach, to warto wspomnieć również o **stoniach**, jednak w trochę innej perspektywie. Wielu z Was widziało pewnie kiedyś zdjęcia uśmiechniętych turystów jadących na czymś w rodzaju ławeczki, przyczepionej do grzbietu słonia. Wydawać by się mogło, że to dla słonia żaden problem, przecież to takie wielkie i silne zwierzę. No tak... Jednak za tym wszystkim kryje się ogromne cierpienie zwierząt, które od małego są tresowane. Podlegają specjalnemu procesowi zwanemu phajaan, co oznacza „łamanie ducha”. Małe słońtka zabierane są od matek, zamykane w małych klatkach, a potem bite. Ich głowa i uszy (które są najwrażliwszymi częściami ciała słoni) są kłute i przebijane metalowymi hakami. Podczas całego procesu zwierzę nie dostaje ani picia, ani jedzenia. Wszystko to robione jest po to, by nauczyć je posłuszeństwa oraz by wiedziały, że nie są w stanie wygrać z ludźmi. Na szczęście wiele osób dostrzega, jak bardzo krzywdzące jest to dla tych zwierząt. Powstaje coraz więcej sanktuariów, gdzie słonie wykupione z niewoli mogą chodzić po parku i nie są wykorzystywane. Najpopularniejszym miejscem jest **Elephant Nature Park**, gdzie można cały dzień karmić słonie i kąpać się z nimi w strumieniu. Jest to zdecydowanie lepsza alternatywa, ponieważ zwierzęta czują się tam dużo swobodniej, a my możemy pogłaskać je, wykąpać i nie przyczyniać się tym samym do ich cierpienia. A jeżeli będziecie mieli szczęście, słoń może podnieść Was swoją trąbą (co jest osobliwym, ale niesamowitym doświadczeniem) lub oblać wodą (co w upalne dni jest świetne).

Wspaniałą rzeczą, którą można zaobserwować w Tajlandii, jest **street food**. Wiadomo, że są bary i restauracje, ale najlepsze jedzenie, jakie jadłam (a zarazem najprostsze), pochodziło właśnie od ludzi, którzy roztawiali na ulicy wózki, stawiali na palniku **woka** (taka głęboka patelnia) i gotowali pyszne jedzenie. Udon, ryż, krewetki, zupy czy makaron ryżowy. Idziesz ulicą, a dookoła siebie czujesz najpiękniejsze zapachy. Pamiętam, jak kiedyś cały dzień chodziłam po buddyjskich świątyniach (**buddyzm** jest dominującą religią Tajlandii, bo aż 95% mieszkańców to buddyści), a ja z uwagi na zasady religijne panujące w tym kraju, musiałam mieć długie spodnie. W tym samym czasie na dworze było 36-38° C, więc możecie sobie wyobrazić, jak zmęczona byłam po kilku godzinach spędzonych w takich warunkach. Wyszliśmy wtedy na ulicę, żeby poszukać czegoś do jedzenia, bo to jedyne, o czym wtedy myślałam i zobaczyliśmy starszą panią właśnie z takim wózkiem. Zaserwowała nam smażony ryż z jajkiem. I pewnie myślicie sobie teraz „Co w tym niezwykłego?”. A tu Was zaskoczę i powiem, że to była jedna z najlepszych rzeczy, jakie jadłam podczas całego wyjazdu. Pełne smaku, świeże, a zarazem tak proste. Więc jeżeli kiedykolwiek będziecie w Tajlandii, to nie należy ograniczać się tylko do restauracji czy barów, ale korzystać właśnie z kuchni ulicznej, bo naprawdę warto.

Tajowie są ludźmi uśmiechu. Nie to co my – szarzy, gburowaci, smutni Polacy. Oni aż kipią życzliwością i uśmiechem. Ponadto nigdzie im się nie spieszy, do wszystkiego podchodzą na spokojnie i zawsze są skorzy do pomocy. Pamiętam, jak kiedyś nie zdążyliśmy niczego zjeść na śniadanie, bo musieliśmy wyjechać dosyć rano, by zdążyć na łódź, którą mieliśmy popłynąć w okolice **wyspy Jamesa Bonda** (nazywa się tak, ponieważ kręcono tam jeden z filmów z serii o Bondzie – „Człowiek ze złotym pistoletem”). Właścicielka domu, w którym mieszkaliśmy, wiedząc, że mamy mało czasu do wyjazdu i nic nie jedliśmy, pojechała do sklepu i zrobiła nam śniadanie, które spakowała nam na drogę. Tacy są to właśnie ludzie. Zrobią wszystko, jeżeli wiedzą, że mogą pomóc. Co więcej, pomogą z uśmiechem na twarzy.

Dotarliśmy do końca, tego jakże zacnego artykułu i naszej pierwszej podróży dookoła świata. Mam nadzieję, że spodobał się Wam taki format i dowiedzieliście się czegoś ciekawego. Możecie na instagramie gazetki przesyłać swoje propozycje na nasze kolejne podróże, a ja zrobię co w mojej mocy, by wyszukać najciekawsze informacje. Miłego dnia!

Milena Podolak

